

# Czesław Kłak

---

## Nowa książka o Pigoniu : słowo autora

---

Tematy i Konteksty nr 6 (11), 453-464

---

2016

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Nowa książka o Pigońiu. Słowo autora

Czesław Kłak  
Uniwersytet Rzeszowski

### A New Book on Stanisław Pigoń. A Word from the Author

**Abstract:** In his book on Stanisław Pigoń, the author outlines the legend of an eminent humanist, literary historian, memoirist, editor, teacher and tutor of many generations of scholars of Polish literature. The narrative is based on his own recollections (as his student) and on extensive correspondence between the professor and Ignacy Chrzanowski, Roman Pollak, Julian Krzyżanowski, Tadeusz Mikulski, Czesław Zgorzelski, Maria Danilewiczowa, and Bishop Ignacy Świrski. This correspondence allows us to take a closer look at the complex problems that the emerging academic milieu of scholars of Polish studies was facing in the difficult postwar times. The volume concludes with a recently uncovered source material – letters of Professor Pigoń to Bishop Świrski – which reveals the secrets of his technique as a literary analyst of Part II of *Dziady* [*Forefathers' Eve*] by Adam Mickiewicz.

**Key words:** Stanisław Pigoń, Ignacy Chrzanowski, Maria Danilewiczowa, Roman Pollak, Julian Krzyżanowski, Tadeusz Mikulski, Czesław Zgorzelski, Ignacy Świrski, biography, legend, Polish studies, correspondence, *Dziady* Part II

**Słowa kluczowe:** Stanisław Pigoń, Ignacy Chrzanowski, Maria Danilewiczowa, Roman Pollak, Julian Krzyżanowski, Tadeusz Mikulski, Czesław Zgorzelski, Ignacy Świrski, biografia, legenda, polonistyka, korespondencja, *Dziady* cz. II

Tak się złożyło, że od blisko czterdziestu lat tematem moich zainteresowań jest życie i twórczość Profesora Stanisława Pigońia. Nie jest to przypadek. W latach 1952–1956 studiowałem polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim i wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z prof. Pigońiem jako wykładowcą literatury staropolskiej. Wykłady były ciekawe, choć Profesorowi przyszło pracować na nie swoim zagonie. Nie dawał po sobie poznać, że w czasach, które dziś nazywamy stalinowskimi, boleśnie przeżywał marginalizację swojej osoby. Ciągle dręczyła go obawa, czy od nowego roku nie będzie musiał przejść na emeryturę, pod pozorem przekroczenia „granicy wieku”.

Urzekła nas legenda Profesora: czytaliśmy jego pamiętnik *Z Komborni w świat*, powtarzaliśmy zasłyszane opowieści o „przygodach” z obozu w Sachsenhausen (spisane dopiero później), bawiliśmy się anegdotami egzaminacyjnymi, jak choćby tą o koledze, który, wiedząc, że Profesor jest mocno głuchy, poszedł na egzamin nieprzygotowany i zamiast odpowiedzi

trzykrotnie odmówił *Ojciec nasz*. Profesor spokojnie wysłuchał, do indeksu wpisał dwóję, a na pożegnanie powiedział: ze *Zdrowaś Mario* niech pan przyjdzie za dwa tygodnie.

Pod koniec studiów miałem szczęście uczestniczyć w seminarium edytorskim Profesora. Pamiętam jedno z przykazań wielkiego filologa: Każdy szczególnie w opracowywanym tekście należy zweryfikować i „krytycznie opukać”, nawet taki, że Wisła wpada do Morza Bałtyckiego. Przestrzegał też przed dowolnymi interpretacjami. „Trzymajmy się tekstu” – pouczał. Była to zatem szkoła rzetelności i odpowiedzialności za wyrzeczone słowo.

Jako świadek muszę jeszcze zwrócić uwagę na wymagania Profesora, zwłaszcza wobec siebie. Zdumiewała nas jego obowiązkowość. Egzamin kursowy prowadził sam (rok liczył około stu osób), choć dla nikogo nie były tajemnicą jego kłopoty zdrowotne. Bywało, że pod salą wykładową czuwała córka-lekarka, bo ojciec za wcześniej pospieszył do swoich „obowiązków”. O egzaminach zamilczę. Nie zasługiwaliśmy na taki heroiczny wysiłek. Z napomknien w listach do przyjaciół – wiemy to dzisiaj – wynika, że z tych wielogodzinnych posiedzeń wracał wyczerpany i nieusatysfakcjonowany: „sam pośląd i mierzwa”.

Moje doświadczenia studenckie nie włączają mnie jednak do grona uczniów Profesora. Terminowanie „pod jego okiem” (cudzysłów jest tu bezwzględnie konieczny) przyszło później.

Na jesieni 1967 r. Pigoń zainicjował rozmowę, której treścią była troska o ponad dziesięcioletnią bibliotekę, gdy „przyjdzie mu ją poniechać”, jak napisał w liście do rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Dla rzeszowskiej polonistyki była to chwila błogosławiona. Wkrótce po śmierci Profesora Helena Pigionowa, zgodnie z decyzją Gospodarza, przekazała uczelni księgozbiór, na warunkach wcześniej ustalonych. Odtąd Pigoń niejako zdomowił się w Rzeszowie.

Dla mnie osobiście było to wyzwanie i zarazem początek wielkiej przygody naukowej, która trwa po dzień dzisiejszy. Biblioteka, w niedługim czasie „Pigionium”, sama w sobie przez liczne glosy zapewniała intymny kontakt z jej byłym właścicielem. Odczytując uwagi rozsiane po marginesach odnosiłem wrażenie, że rozmawiam z Profesorem, że uczestniczę w jego seminarium. Słowem, uczyłem się i poznawałem Mistrza. Teraz dopiero mogłem powiedzieć o Nim – mój Profesor.

Do owoców tej wieloletniej fascynacji osobą i twórczością Stanisława Pigionia zaliczam książkę zbiorową *Wokół Stanisława Pigionia* (1983). Przeglądając ją, widzę że zawiera zapowiedzi szerszego programu badań nad życiem i twórczością Pigionia. W *Słowie wstępnym* pisałem tam z nadmiernym optymizmem, że już na stulecie urodzin Profesora w roku 1985 można oczekiwać publikacji pierwszych zespołów korespondencji uczonego jako świadectw jego trudu życiowego.

Prawie równolegle ze wspomnianą książką ukazało się piąte wydanie pamiętnika Pigionia *Z Komborni w świat* z moim wstępem i komentarzem.

Tradycją stały się sesje naukowe. Było ich kilka. Książka *Non omnis moriar* (1997) jest pokłosiem dwóch zgromadzeń, a mój autorski tom *Stanisław Pigoń. Szkice do portretu* (1993) przyniósł m.in. rozprawy *Pigoniowe „niebo w płomieniach”* i *Warsztat. Uwagi o bibliotece i glosach uczonego*. Obydwie ukazują mało znane sprawy – kryzys religijny młodego Pigionia, z którego wyszedł zwycięsko dzięki literaturze (*Genesis z Ducha* Juliusza Słowackiego), i tajemnice domowej biblioteki, jako warsztatu i zjawiska kulturowego.

Jednakże rozrost studiów nad Pigoniowym dziedzictwem intelektualnym i spuścizną etyczną przyśpieszyły dopiero publikacje źródłowe, które zapowiedziałem przed dziesięciu laty.

W roku 1996 ukazał się tom inicjujący serię: *Korespondencja Stanisława Pigionia*. Opublikowałem w nim listy Marii Danilewiczowej i Pigionia. *Dialog korespondencyjny (1958–1968)* toczył się „ponad żelazną kurtyną” i z tego względu przynosi wiele ciekawych informacji o tamtym czasie.

Drugi zespół wzajemnej korespondencji z Ignacym Chrzanowskim pt. *Mistrz i uczeń* przenosi nas w lata 1914–1936 i wprowadza w świat młodego Pigionia. Wojenne doświadczenia, naukowe i wydawnicze prymicje, Poznań i Wilno, wreszcie przyjaźń z mistrzem Ignacym, to najważniejsze wątki tego dialogu.

Trzeci zespół (w opracowaniu Z.J. Adamczyka i A. Kowalczykowej) – korespondencja z Moniką Żeromską (lata 1952–1968) wprowadza czytelnika w jeden z ważniejszych tematów naukowej troski Pigionia – twórczość Stefana Żeromskiego.

Tyle udało się opublikować w całości.

Kilka wielkich bloków korespondencyjnych: Pigoń – Pollak, Pigoń – Krzyżanowski, Pigoń – Mikulski, Pigoń – Zgorzelski, odczytanych z rękopisów i częściowo skomentowanych, „leżakuje” w moim komputerze. Teczki z wydrukami, w sumie 2300 stron, czekają na dalszą obróbkę i one stanowią fundament mojej książki, której nadałem tytuł *Pigoń*, jak w przypadku klasyków: Mickiewicz, Słowacki, dla których transparentem jest samo nazwisko.

Chronologicznie wyprzedza ją księga zbiorowa *Profesor z Komborni* (2010) wydana staraniem trzech ośrodków: Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Rzeszowskiego i Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Krośnie, dziś Collegium Pigionia w czterdziestą rocznicę śmierci. Ta księga również wpisuje się w mój czas fascynacji osobowością i dziełem Pigionia. Mogę zatem strawestować tytuł jego Mickiewiczowskiej książki – *Zawsze o Nim*.

Ale książka moja nie jest konstrukcją wykończoną, nie jest wyczerpującą biografią, ani tym bardziej monografią. Posługując się rolniczą metaforą Pigionia, można ją uznać za plon spiesznie schowany do stodoły przed nadciągającą nawałnicą.

W części pierwszej pod ogólnym tytułem *Przyjaźnie* wertuję korespondencję Profesora z wybranymi osobami uprawiającymi ten sam zawód. Większość zapisów (wyjątek stanowi korespondencja z Chrzanowskim) nosi

stempel wojenny i powojenny, a więc wprowadza nas w czasy represyjności niemieckiego okupanta, ale także represyjności okupanta radzieckiego, ukrytego pod maską rządów rodzimych, czyli PRL-u. I jedna, i druga rzeczywistość była zagrożeniem dla ciągłości kultury polskiej i swobodnego jej rozwoju. Była również zagrożeniem i wyzwaniem dla intelektualistów, którzy nie chcieli się poddać obcemu dyktatowi. Otóż ta korespondencja, odczytywana *en bloc*, jest wybitnym, ale i unikatowym świadectwem, w którego świetle poznajemy wielkość i – nie waham się użyć tego terminu – heroizm bohatera mojej opowieści.

Trzymiesięczny pobyt w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, mimo traumy spowodowanej cierpieniem i śmiercią trzynastu kolegów, w tym Ignacego Chrzanowskiego i Stefana Kołaczewskiego – mistrza i najbliższego współpracownika, nie osłabił jego woli życia i działania. Z listu do prof. Krzyżanowskiego wynika, że z opresji wyszedł dzięki „łasce Opatrzności”, „trochę poleżał, żeby wydychać biedę” i znów jest „w dobrej formie”. Mimo trudności (nie dostępne dla polskich uczonych biblioteki) prowadził wcale rozległe studia nad literaturą ludową, pozazdrościł – jak powiada – Paskowi i zabrał się do spisywania „wspomnień młodości” – *Z Komborni w świat*. Nie uchylił się od obowiązku tajnego nauczania, zyskując sympatyczny przydomek „Tata Pigoń”, obmyślał z kolegami sposoby reaktywowania okaleczonej polonistyki, żeby było do czego wrócić po tym – jak pisał – zbyt długim „adwencie”, zaś po tragedii powstania warszawskiego rozwinął na wielką skalę akcję pomocy poszkodowanym profesorom i studentom-powstańcom, którzy ściągali do Krakowa, a wszystko działało w ekstremalnie trudnych warunkach, z narażeniem życia.

18 stycznia 1945 r. Kraków został oswobodzony. Pigoń, już wtedy mocno podupadły na zdrowiu, natychmiast przystąpił do reaktywowania seminarium polonistycznego. Nie było łatwo. Budynki uniwersyteckie były zdewastowane, ściągająca do Krakowa młodzież nie miała środków do życia i kąta do spania. Pigoń, z dawna opiekun Bratniej Pomocy i gospodarz bursy akademickiej przy ulicy Garbarskiej, dwoił się i troił, aby zapewnić studentom jakie takie warunki egzystencji. Do tego dochodziła troska o kadre. Był w tym czasie jedynym profesorem na polonistyce. Przez kilka miesięcy wspomagał go wprawdzie Julian Krzyżanowski, ale potrzeby były znacznie większe. Troszczył się więc o przyśpieszenie habilitacji Wyki, Kubackiego i Mikulskiego. Chodziło także o samodzielną kadre naukową dla innych ośrodków i o wdrożenie koniecznych reform, wysnutych z doświadczeń tajnego nauczania na poziomie uniwersyteckim.

Rychło okazało się, że te zabiegi źle są oceniane przez nową władzę z powodów ideologicznych. Autonomia uniwersytetów i autorytet profesorów, którzy z reguły nie akceptowali porządku politycznego narzuconego przez tę władzę, spowodowały represje. Spadły one zwłaszcza na Uniwersytet Jagielloński i wybitnych profesorów tej uczelni. Pigoń znalazł się w ich gronie.

Na łamach „Głosu Ludu” (8 IV 1945) ukazał się artykuł *Niepokojące zjawiska na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie*, w którym autorka bez pardonowo zaatakowała uczelnię jako bastion wsteczności i reakcji, który trzeba oczyścić ze wstecznych profesorów. Wśród nich wymieniła prof. Pigoń, rzekomo aktywistę Obozu Narodowo-Radykalnego, organizacji o faszystowskim obliczu. Pigoń w odręcznym piśmie do rektora zaprzeczył tym doniesieniom, co nie przeszkodziło innym, centralnym i krakowskim gazetom, atakować go nadal. Nie dziwi zatem passus w liście do Romana Pollaka:

Nie wiem, czy do Ciebie doszło, że w pewnych organach stołecznych i prowincjonalnych wycierano sobie gębę moim nazwiskiem w celach nie całkiem przyjaznych. [...] Nie powiem, żeby mię to nie obeszło; kochani rodacy dołożyli swoją porcję do otrzymanych niegdyś w obozie. Teraz to jakoś ucichło, jak widzisz, między „wisielcami” się nie znalazłem. Ale w każdej chwili może się powtórzyć.

Powtórzyło się mniej więcej za rok, w dniu 3 maja 1947 r., podczas obchodu tradycyjnego święta narodowego. Siły Urzędu Bezpieczeństwa podczas rozpędzania pochodu zaatakowały młodzież, doszło do licznych aresztowań, pobić i rewizji w domach akademickich. Pigoń, jako kurator Bratniej Pomocy, czuł się w obowiązku złożenia protestu przeciwko brutalnej przemocy, tym bardziej że był świadkiem poranienia „bezbronnej i bezopornej” studentki na terenie Domu Akademickiego. Nie został jednak zaproszony na spotkanie u wojewody. We wrześniu tego samego roku przeżył upokarzającą rewizję w swoim mieszkaniu.

Przed paroma dniami – pisał do Pollaka – miałem w mieszkaniu – rewizję. Nie wiem, czego szukano, bo nic tu do znalezienia nie ma. Ale system działa. Jak widzisz wszystko nie wesołe.

Kolejny incydent nosi stempel 1948 r. i miał związek ze „sprawą Mikołajczyka”. Tym razem Pigoń nie mógłby powiedzieć, że nie było nic do znalezienia. W piwnicy państwa Pigoniów ukryto część archiwum Mikołajczyka przed jego wyjazdem z kraju. Konsekwencje mogły być bardzo poważne. Skończyło się na usunięciu Profesora z dziekaństwa i odsunięciu od wykładów w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Stanowisko w Uniwersytecie zachował.

Tak więc Profesor nie miał łatwego życia. Czuł się zaszczytowany. Tak to zresztą sformułował na konferencji w sprawie potrzeb i organizacji nauki polskiej (26 I 1946):

Nie ma wolności nauki bez wolności uczonego [...] Tymczasem pracownicy nauki i instytucje naukowe bywają dziś przedmiotem bezkarnego szcucia ze strony różnych nieodpowiedzialnych czynników.

Nie tylko „nieodpowiedzialne czynniki” utrudniały mu pracę. W zgodzie z nimi działali, wpisani w nową rzeczywistość, młodzi, jak się chętnie nazywali, postępowi badacze marksistowscy, którzy podjęli zdecydowaną walkę ze starymi „burżuazyjnymi” uczonymi. Pigoń stał się obiektem ich



nonszalanckich – rzec można – wściekłych napaści. W listach do przyjaciół raz po raz znajdujemy wzmianki o tych napaściach. Deprecjonowano wartość *Zarysu nowszej literatury ludowej*, pamiętnika *Z Komborni w świat*, uniemożliwiano albo utrudniano druk nowych prac, jak np. monografię *Władysław Orkan. Twórca i dzieło*, nie mówiąc już o przekreślaniu przedwojennego dorobku. Jedynie tolerowano go przy warsztacie edytorskim.

O próbie wykluczenia uczonego spośród twórców kultury najdobitniej świadczy zakaz publicznego obchodu jubileuszu czterdziestolecia jego pracy naukowej w roku 1951. Kameralna uroczystość odbyła się jednak w mieszkaniu Profesora, ale przygotowana przez przyjaciół i uczniów jubilata *Księga pamiątkowa*, wręczona mu w maszynopisie, nigdy nie została wydana drukiem. Jest więc krzyczącym znakiem „marnego czasu”, ale i znakiem wierności, zawartym w dedykacji pióra Tadeusza Ulewicza: „Miło Ci otrzeć czoło i przystanąć chwilę, by ujrzeć długą, głęboką smugę odwalonej przez lat czterdzieści skiby”.

Ostracyzm, o którym była mowa wyżej, trwał do przełomu październikowego w roku 1956. Ten wstrząs polityczny obudził w Pigoniu złudną, choć w tym momencie uzasadnioną nadzieję. Na sceptycyzm przyszedł czas znacznie później. W liście z 23 grudnia 1956 r. (w przeddzień Wigilii) następująco opisał swoje emocje:

Teraz zdrowie jakoś tam służy; od września żadna z moich żmór jakoś mię nie nawiedziła. [...] Nie ma co tać. Zmiana powietrza w Polsce – to znakomity sposób leczniczy. Po dłuższym okresie depresji i odrazy znowu chce się żyć i pracować, kiedy się widzi pracy tej jakiś sens.

Okres „depresji i odrazy” nie był dla Pigionia okresem bezowocnym. W listach znajdujemy sporo świadectw jego nadzwyczajnej aktywności. Pióra nie złamał, od świata się nie odwrócił. Gdy w atmosferze „odwilży”, która nastąpiła po śmierci Stalina, wielu jego dotychczasowych adwersarzy zmieniło front, Pigoń znów wypłynął na powierzchnię życia naukowego.

W roku 1955, w setną rocznicę śmierci Mickiewicza, upamiętnioną odsłonięciem zburzonego przez Niemców pomnika wieszczą, to Pigoń z najwyższej trybuny na Rynku krakowskim głosił chwałę *Poety narodu*. W tym samym roku otrzymał Nagrodę Państwową I stopnia za całokształt twórczości naukowej. W ślad za tym poszły inne równie wysokie wyróżnienia: order Sztandar Pracy I Klasy i nagroda krakowskiego Oddziału PAN za książkę *Zawsze o Nim*. Skończyła się również niepogoda dla jego autorskich ambicji. W latach 1958–1964 i dalszych w witrynach księgarskich pojawiło się dziewięć książek Profesora, a była to zaledwie część jego trudu, do którego wliczyć trzeba osiągnięcia edytorskie – tekstów Mickiewiczowskich z *Panem Tadeuszem* na czele, krytyczne wydanie *Dzieł wszystkich Aleksandra Fredry*, *Dzieł Władysława Orkana* oraz *Dzieł Stefana Żeromskiego*, żeby poprzestać na najważniejszych.

Nie uchylał się też od prac organizacyjnych. Działanie w ramach Polskiej Akademii Umiejętności (póki istniała), potem Polskiej Akademii Nauk, wreszcie Instytutu Badań Literackich, uważał za swój obowiązek w każdym

czasie, pogody i niepogody. Dla niego liczyło się dobro wspólne – kondycja polskiej kultury, literatury i nauki. To były sprawy nadrzędne. W takich okolicznościach urazy nie miały znaczenia.

Dlatego bez wahania przyjął przewodnictwo Zjazdu Naukowego Polonistów (1958), wielkodusznie pomijając fakt, że na poprzednim zjeździe (1950), na który nie został zaproszony, nazwiskiem jego wycierano sobie gębę; epitet „burżuazyjny uczonek” należał do najłagodniejszych. Przemówienie inauguracyjne Pigionia na tym rozrachunkowym zjeździe nie zawierało akcentów wojowniczych, nikogo nie rozliczał, szukał konsensusu między badaczami różnych orientacji ideowych i wyjścia z nonsensu jednostronności oraz zacietrzewienia, ale naiwny nie był. W rozmowie z redaktorem „Tygodnika Powszechnego” powiedział, że ucieszyła go próba przeszczepienia na teren polonistyczny koncepcji „stu kwiatów”. Po czym dodał: „Oczywiście, zjazd zjazdem, klimat klimatem. Zobaczymy, co pokaże przyszłość”.

Przyszłość przyniosła kolejne przykręcenie śruby. W roku 1964 trzydziestu czterech pisarzy i intelektualistów, w tym również Pigoń, zaniepokojonych „ograniczeniem papieru na druk książek i czasopism” i „zaostreniem cenzury”, podpisało protest zwany *Listem 34*. Zaczęły się restrykcje. Dziesięciu sygnatariuszy listu wycofało swój podpis. Pigoń, mimo nacisków, pozostał przy swoim.

Wróćmy jednak do zjazdu. Podczas spotkania towarzyskiego zaczęto świętować jubileusz pięćdziesięciolecia działalności naukowej Stanisława Pigionia. Była to próba zatarcia niegodziwości i nieprzyzwoitości sprzed niespełna dziesięciu laty, gdy Pigoń niemal konspiracyjnie obchodził czterdziestolecie pracy. Teraz, odpowiadając na entuzjastyczny aplauz, pogodnie, ale nie bez ironii, powiedział:

Życie miałem wesołe, szczęśliwe, walczyłem, pracowałem, uczyłem, służyłem Ojczyźnie. Obawiam się tylko, że kiedyś może przyszły historyk literatury, poświęcając mi w grubym tomie linijkę, powie: idealista burżuazyjny. Ja zaś jestem spirytualistą.

Jubileusz rozpoczęty na zjeździe miał jeszcze dwie odsłony – w roku 1962 w auli Polskiej Akademii Nauk w Krakowie z wręczeniem jubilatowi imponującej *Księgi pamiątkowej* i w roku 1964 w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego z okazji zwyczajowego odnowienia doktoratu po pięćdziesięciu latach. Nie będę opisywał tych uroczystości. Były podniosłe. Społeczność akademicka składała hołd człowiekowi wysokiego autorytetu naukowego i moralnego. Opisałem te akty homagialne w prezentowanej książce. Na jedno tylko chcę zwrócić uwagę. Na Pigiłoniowe poczucie wdzięczności. Z badań, jakie prowadzi się dzisiaj, wynika niezbicie, że niechętnie przyznajemy się do długu wdzięczności wobec tych, którym coś w życiu zawdzięczamy, zwłaszcza gdy nasze osiągnięcia, gdy nasz lot ku gwiazdom, opłaciliśmy dużym i rzetelnym wysiłkiem własnym. Nie chcemy się dzielić z nikim. Rozpiera nas duma samorealizacji. Taka postawa była obca Pigiłoniowi. On sam, patrząc wstecz, mówił wprawdzie o twardej szkole życia, o uporze i zmaganiach z przeciwnościami, ale pamiętał o „kapitale



zakładowym” wyniesionym z rodzinnego domu, o nawyku rzetelnej pracy, o rodzicach, o uniwersytecie, tej „świątyni nauki”, w której się zdomowił, o profesorze Ignacym Chrzanowskim – męczenniku nauki. Wdzięczność Chrzanowskiemu wyraził słowami z *Pana Tadeusza*: „On mnie radą do usług publicznych sposobił,/ Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił”. Dziękczynienia Pigionia nie na tym się skończyły. Objęły także uczniów tragicznego pokolenia wojennego.

Myślę, że ten rys osobowości profesora Pigionia najlepiej oddaje jego wielkość.

W książce, którą tu prezentuję, a która może mogłaby nosić tytuł *Pigoń i inni*, zajmuję się jeszcze kilkoma wyodrębnionymi tematami i wątkami, jak np. pamiętnikami uczonego – *Z Komborni w świat, Wspominki z obozu w Sachsenhausen* i zbiorem *Z przedziwa pamięci*.

Muszę natomiast przyznać się do czegoś, co może czytelnika rozbawi, albo i zaniepokoi. Fantazmaty są niebezpieczne. Roi mi się jeszcze nieduża – tak myślę – książeczka pt. *Jeszcze raz o Pigońiu*. Chciałbym w niej wrócić do rzeczywistości objętej przez Pigońiowe „wspomnienia młodości”, ale widziane z innej perspektywy, a także zając się dziesięcioleciem wileńskim. Mam nawet tytuł rozdziału: *Farysowe lata profesury wileńskiej*. Gdyby sił starczyło – nie chcę wyzywać losu – zmierzyłbym się jeszcze z kontrowersyjnym tematem brązownictwa w historycznoliterackiej praktyce Pigionia. Pewnie nie na tym koniec.

I jeszcze jedna sprawa.

W biografii Pigionia wyraziście zarysował się wątek wieloletniej przyjaźni z biskupem Ignacym Świrskim, ordynariuszem Diecezji Siedleckiej, czyli Podlaskiej. Poznali się w Wilnie na Uniwersytecie Stefana Batorego. Nie znamy szczegółów koleżeństwa rektora prof. Stanisława Pigionia z dziekanem Wydziału Teologicznego ks. prof. Ignacym Świrskim. Z enuncjacji ich wspólnego przyjaciela, także późniejszego biskupa Czesława Falkowskiego, wiemy tylko, że dom państwa Pigońiów był miejscem spotkań, że przychodziło się tam „bez ceremonii”, żeby „odzipnąć” i „pokrzepić się na duchu”. Po wyjeździe Pigionia – narzekał Świrski – „nastrój w Wilnie z każdym rokiem jest bardziej ponury, nędza też i upadek ducha”.

Powojenne stosunki przyjaciół dokumentuje ich niekompletna, niestety, korespondencja. W archiwum Pigionia zachowało się 66 listów i kart pocztowych bpa Świrskiego. Natomiast z listów Pigionia, odszukanych w Archiwum Diecezji Siedleckiej przez biografę biskupa – ks. prałata Józefa Skorodiuka, do moich rąk dotarły zaledwie trzy ostatnie, niejako pożegnalne, opublikowane w szkicu *Siedleckie rekolekcje*, umieszczonym w książce *Pigoń*, o której dzisiaj rozmawiamy. Nadzieje na odnalezienie pozostałych wydawały się mało prawdopodobne, choć w przyjacielskiej korespondencji z ks. Skorodiukiem wracaliśmy do tej sprawy parokrotnie. W Archiwum Diecezjalnym natknął się on na teczkę, w której obok innych materiałów biograficznych bpa Świrskiego znalazły się trzy listy Pigionia

z 1966 r. Pierwszy zawiera kilka istotnych pytań o praktyki religijne rzymskich katolików i unitów na Białorusi, o modlitwy i język tych praktyk, i o tradycje obrzędów, przypominających dawne „dziady”.

Odpowiedź Ignacego Świrskiego (przytaczam ją w całości), bardzo rzeczowa i kompetentna, pozwoliła Pigońiowi, jak napisał w drugim liście, „wywikłać się z trudności interpretatorskich” i ukończyć rozprawę *Formowanie „Dziadów” części drugiej. Rekonstrukcja genetyczna* (1967).

Trzeci list, pisany na maszynie przez Helenę Pigońiową, najprawdopodobniej pod dyktando, podpisany „Pigońiowie” ręką Pigońiowej, z dopiskiem tą samą ręką: „piszę na maszynie, bo mi ręce bardzo drżą, i trudno pisać ręcznie”, zawiera treść wyłącznie techniczną, dotyczącą planowanego wyjazdu do Siedlec.

## S. Pigoń do I. Świrskiego

Kraków, 20 I [19]66

Ekscelencjo!

Proszę nie wziąć za złe, że odważam się go zatrudniać sprawą odległą i nie mającą związku z teraźniejszymi stosunkami. Chcę sięgnąć do dawnych tradycji zasłyszanych może przez Ekszelencję w młodych latach w Jego stronach rodzinnych. Nie umiem się wyplątać z takiej trudności.

Pochodzę z pogranicza, gdzie się stykały dwa obrządki: rzymsko-katolicki i grecko-katolicki. Zaraz sąsiednia wieś była unicka, bywałem w niej i, o ile to było możliwe, trochę się rozpytywałem o stosunki.

Otóż nigdy nie zasłyszałem, żeby unicy w swojej cerkwi śpiewali w języku polskim i te same pieśni, jakie się śpiewało u nas w kościele.

Tymczasem moi uczniowie wileńscy twierdzą z całą stanowczością, że istniała tradycja, jakoby unicy na Białorusi i na Podlasiu (kiedy tam jeszcze była unia) śpiewali w cerkwiach po polsku polskie pieśni nabożne, w szczególności (na czym mi szczególnie zależy), że śpiewali cały trójczłonowy zespół *Anioł Pański*.

Dzisiaj nie natrafić już na bezpośrednich świadków, którzy by to wiedzieli ze swej praktyki, ale czy wśród starych ludzi nie utrzymują się jakie co do tego tradycje? Że się unicy modlili po polsku, z ksiązek polskich, o tym słyszałem. Ale czy duchowni unicy pozwalaliby w cerkwi śpiewać po polsku pieśni rzymsko-katolickie (a taką jest chyba cykl *Anioł Pański*...) o tym nie wiem. A gwałtownie potrzebowałbym wiedzieć.

Potrzebne mi to oczywiście przy różnych dociekaniach dotyczących *Dziadów*.

I jeszcze jedno. Czy Ekszelencja słyszała (a może nawet widziała?) o zbiorowych wspominkach o zmarłych, odbywanych (po mszy żałobnej) na cmentarzu (mogiłkach) około niedzieli przewodniej, i to o wspominkach związanych z poczęstunkiem krewniaków, zwłaszcza zaś dziadów proszalnych, żebraków. Zwyczaj ten utrzymywał się podobno długo wśród prawosławnych, a podobno dawniej wśród unitów podlaskich, może nawet wśród tamtejszych katolików.

Etnografowie rosyjscy i polscy mówią o tym, ale nie jednakowo: jedni, że był przestrzegany, inni że nie. Czy można by się jeszcze u kogo dowiedzieć, jak było naprawdę?

I jeszcze jedno. Jeżeli się gdzie uchowała pamięć o takich obchodach zadusznych około niedzieli przewodniej, to czy nie uchowała również w pamięci ich nazwa: radnica, czy radawnica.

Sprawy te związane są z *Dziadami* Mickiewicza i bardzo żywo mię obchodzą. Za każdą, choćby najmniejszą i ułamkową wiadomość byłbym jak najgłębiej wdzięczny.

Sam bawiąc w Wilnie, zaniedbałem, żeby się wypytać o to wszystko wśród studentów, czy ludzi starszych i do dziś nie mogę tego odzłować. Gdyby Ekszelencja mógł i zechciał łaskawie dopomóc mi tu w czymś lub też wskazać, do kogo mógłbym o taką pomoc zapukać – byłbym wdzięczny niewymownie.

Wróciłem trochę do zdrowia, no i do pracy. Stąd kłopot. W domu po staremu. Od nas obojga zechce Eksceleńcja przyjąć wyrazy głębokiej czci

St. Pigoń

## I. Świrski do S. Pigoń

[luty/marzec 1966]

Wielce Szanowny i Drogi Panie Rektorze,

Nie wiem, czy moje wiadomości przydadzą się na coś Panu Rektorowi, czy nie, ale chętnie służę.

Uważam, że trzeba stanowczo odróżnić Kościół Unicki na Białej Rusi od Kościoła Unickiego w Galicji.

Na Białej Rusi po zawarciu Unii unicy zaczęli natychmiast polonizować się. Przymusu żadnego nie było, przeciwnie były przeszkody stawiane, ale dążenia do spolonizowania się były tak silne, że nic wstrzymać nie mogło. To były czasy, kiedy nie było separatystycznych tendencji.

Białorusini prawosławni nie mieli nic w swoim języku poza liturgią słowiańską, po przejściu na unię też nikt im nic nie dał w tym języku i dlatego oni żywcem przejęli wszystko z Kościoła rzymskiego i w języku polskim, a zatem i pieśni i różaniec i rozmaite nabożeństwa dodatkowe. Nie tylko *Anioł Pański*, ale i godzinki, i kolędy, i pieśni wielkopostne. I tak to pozostało do ostatnich czasów.

Przypominam sobie nasze dyskusje teologiczne na zjazdach unijnych w Pińsku. Tam zarzucano duchowieństwu polskiemu, że Białorusinów spolonizowali, że Białorusini nie mają żadnej pieśni, żadnej książki do nabożeństwa po białorusku, żadnego tłumaczenia *Ewangelii*, tylko całe ich życie religijne odbywa się w języku polskim. To jedna rzecz zupełnie pewna.

Nie mogli ani na Białej Rusi, ani na Polesiu, ani na Wileńszczyźnie śpiewać w kościele inaczej, jak tylko po polsku, dla tej prostej przyczyny, że nic nie mieli, ani nawet *Ojciec nasz* po białorusku.

W domu u siebie posługiwali się językiem białoruskim, ale gdy klękali wieczorem do pacierza, zaczynał się język polski. Mój kolega ks. Brobic z polecenia bpa Matulewicza założył nową parafię w miejscowości czysto białoruskiej, w Idolcie, i rozpoczął pasterzowanie po białorusku. Entuzjazmu wielkiego nie wzbudził, ale byli mu wdzięczni za to, że im parafię założył. Mniej więcej po roku postanowił urządzić odpust. Wezwał do pomocy parafian, stanęli do dyspozycji chętnie. Ale w przeddzień odpustu zjawiała się u niego delegacja parafian. Z wielką nieśmiałością i z wielką pokorą poczęli błagać, aby przynajmniej w dniu jutrzejszym kazanie było po polsku. Wszak – mówili – przyjadą do nas z sąsiedniej parafii ludzie, i co oni o nas pomyślą? Pomyślą, że my jesteśmy już tacy ciemni, że do nas po ludzku przemawiać nie można. I na tym polegał tragizm narodu białoruskiego, że on swego języka się wstydził. Wiadomość ta jest zupełnie pewna do roku 1945. Jak jest teraz, nie wiem.

Przypominam sobie odczyty i dyskusję na temat języka białoruskiego jeszcze w Petersburgu w roku 1916. Zagadnienie: „Jak to się stało, że język białoruski, będący językiem na dworze Wielkiego Księcia Litewskiego językiem Jagiełły, językiem *Statutu Litewskiego*, nie ma żadnej literatury, nie zdobył sobie prawa języka kulturalnego”, i stał się językiem, którego naród białoruski się wstydzi, a przecież jest to język żywy, bardzo żywy. Ileż to milionów tym językiem się posługuje u siebie w domu, przy gospodarstwie, we wsi, na zabawach, a przede wszystkim w kłótni.

Różni różnie na to odpowiadali, ale to do rzeczy nie należy. A zatem w Kościele nie było języka białoruskiego. W Galicji mogło być inaczej. Zresztą tam jest język ukraiński. W tej sprawie już nic więcej nie da się powiedzieć.

A teraz przejdźmy do innego zagadnienia.

U prawosławnych Rosjan istnieje zwyczaj urządzania rocznicy pogrzebu swych krewnych, nazywają to „trizna”.

Jeżeli rocznica wypada w zimie, przenoszą ją na lato, i wtedy udają się na cmentarz, na grób zmarłego, zapraszają duchownego, który nad grobem wykonuje modły, a potem

gdzieś poza cmentarzem, na polu, czy też w jakimś domu urządzają przyjęcie zależnie od zaamożności. Przypominam sobie, że mając 14 lat, byłem na takim nabożeństwie i na takim przyjęciu, bo jako chłopiec pomagałem naszemu sąsiadowi w urządzeniu tego przyjęcia. Przypominam sobie, że wówczas na grobie tego zmarłego postawione były świece a między świecami rozmaite potrawy. Co z tymi potrawami dalej było, nie przypominam sobie. Czy one pozostawały tam na grobie dla ptaków czy dla ubogich, czy powędrowały na stół do gości, nie przypominam.

W roku 1925 czy 1926, też dokładnie nie pamiętam, siostra moja była nauczycielką w szkole podstawowej w Starej Wilejce, czy Wilejce Powiatowej. Opowiadała mi, że tam istnieje jakiś pogański zwyczaj „Dziady”, czyli pominki po umarłych; one się odbywają w nocy, też z jakimiś obrzędami. Była nawet zaproszona na nie, ale nie poszła.

Wtedy nie zwróciłem na to żadnej uwagi, bo to mnie nie interesowało. Teraz uświadamiam sobie, że to było coś z tego, co Pana Rektora obecnie obchodzi. Tu na Podlasiu nie o tym nie słyhać. Mam wrażenie, że to specjalność Wileńszczyzny i, kto wie, może to wpływy, czy pozostałości Litwy pogańskiej.

Przypuszczam, że w swoim czasie P. Rektor na terenach wileńskich mógł dużo o tym się dowiedzieć. Ale teraz?

Cieszę się bardzo, że P. Rektor wraca do zdrowia i do pracy. Odnoszę wrażenie, że praca P. Rektorowi potrzebna jest do zdrowia.

U mnie tutaj bez większych zmian. Przygotowujemy się do *Millenium*, raczej przygotowania idą, a kłopotów i trudności z tym mamy aż za dużo; jak na nieszczęście przybyła jeszcze na nas ta nagonka za orędzie do biskupów niemieckich. To bez wątpienia odbije się na tych uroczystościach milenijnych. Czy zagraniczni biskupi przyjadą, i ilu ich będzie?

Mam nadzieję, że w lipcu będę mógł tu oglądać Pana Rektora wraz z jego Małżonką. Proszę w rozkładzie czasu i zajęć lipiec przeznaczyć na Siedlce.

Pozdrowienia dla Wielce Czcigodnej Pani domu i całej Rodziny Pana Rektora.

Z wyrazami głębokiej czci

Ignacy bp.

## S. Pigoń do I. Świrskiego

Kraków, 12 IV [19]66

Ekscelencjo,

Czcigodny ks. Biskupie,

Z opóźnieniem zgłaszam się, by złożyć jak najszczerze i najserdeczniejsze życzenia.

Pod koniec W[wielkiego] Tygodnia dostał mię mój zwyczajny wiosenny atak i na tydzień zwalił mnie z nóg. Ledwie się zaczynam podnosić.

Chciałbym raz jeszcze podziękować za nadesłane łaskawie informacje. Pomogły mi one wywikłać się z trudności interpretatorskich. Dzięki nim ukończyłem rozprawę i oddałem wydawnictwu.

Nie ma co taić wszelako, że coraz trudniej idzie mi z pracą autorską. Jeszcze niby jestem na chodzie, ale o płony coraz trudniej. Liczę wszelako, że w tym roku to i owo jeszcze ogłoszę. Najwięcej mię cieszy owa rzecz o *Dziadach*.

Żona, jak zwykle, niewiele się porusza; noga niby to się goi, ale bardzo powoli i lada sforsowanie sprowadza recydywę. Dzieci i wnukowie w zwykłych swych krzątaniach. Wnuczka Basia ucieszyła mię uzyskanym wreszcie stopniem magistra. Młodsza ostro studiuje rusycystykę; są pewne widoku, że wakacje spędzi w Leningradzie.

Jeżeli zdrowie się specjalnie nie zepsuje, a Ekszelencja gościnności swej, tylekroć nadużyte, nie powściągnie, pragnęlibyśmy znowu wprosić się w dom Ekszelencji. O ileż kwestii chciałoby się wypytać i wywiedzieć.

Zechce Ekszelencja przyjąć wyrazy czci i pozdrowienia od nas obojga.

St. Pigoń

## Pigoniowie do I. Świrskiego

Kraków, 25 czerwca 1966

Ekscelencjo, Najzcigodniejszy, Drogi nam Księżu Biskupie!

Bardzo serdecznie dziękujemy za Jego dobroć, za zaproszenie, tudzież załatwienie sprawy sierpnia. Nie chcę o tym pisać, by Ekscelencji nie zabierać czasu, więc tylko na razie pospieszam zawiadomić Ekscelencję, że zamierzamy wyjechać w sobotę 2 lipca po 5-tej rano z Krakowa, tak że w Warszawie będziemy o 10-tej. Jeśli to jest możliwe, jeśli nie natrafia to na przeszkody realne, bardzo prosilibyśmy o odebranie nas w Warszawie, bo wedle mego dawnego jeszcze doświadczenia – jazda z Warszawy do Siedlec to prawdziwy problem. Oczywiście, gdyby to miało Ekscelencji sprawić najmniejszy choćby kłopot, postaramy się jakoś problem ten rozwiązać, czyli wybrać najmożliwsze połączenie tzn. z jedną a nie dwoma przesiadkami.

Nie mamy jeszcze miejscówek do Warszawy, więc gdyby już (a można je wykupić dużo wcześniej, tylko ja trochę się zgapilem) nie można było na sobotę dostać, przeczekamy rwetes wakacyjny i przyjedziemy w poniedziałek 4-go, o czym zawiadomię 27 bm.

Przesyłamy oboje wyrazy głębokiej czci i gorącego przywiązania

Pigoniowie

[Podpis i dopisek ręką Pigoniowej: Piszę na maszynie, bo mi ręce bardzo drżą i trudno pisać ręcznie].